

Pamiętnik Słima Morano – 12

29 sierpnia 2020

Epizody z życia Andrzeja Adamskiego. Nocna projekcja

Czy to była amnezja? Amnezja czyli utrata pamięci? Czy rzeczywiście przeżyłem w moim dzieciństwie zanik pamięci? Bez żadnej widocznej przyczyny?... Bo ani nie doznałem żadnego urazu, ani nie miałem nigdy padaczki, ani nie cierpiałem na żadną podręcznikową chorobę psychiczną. A to są trzy możliwe powody amnezji. Do dziś nie potrafię sobie odpowiedzieć, co się wtedy ze mną stało. Chyba że wyjaśnieniem byłaby ta noc...

W każdym razie po dziesięciomiesięcznym pobycie w internacie nie rozpoznawałem nikogo i niczego w mojej starej szkole. Marek, mój najlepszy klasowy kolega z pierwszej i drugiej klasy podstawówki, był zszokowany: nie poznałem go, nie wiedziałem nawet, jak ma na imię. Po powrocie przydzielono mnie zresztą i tak do 4c, podczas gdy moją rodzimą klasą, gdzie był też Marek, byłaby 4a. Ale moja była wychowawczyni nie chciała mieć ze mną kłopotów, mimo iż internat wydał mi bardzo dobrą opinię i świadectwo z przeciętną powyżej czwórki. Pewnie za-pomniałbym także jak wygląda moje mieszkanie i moich najbliższych, gdyby nie to, że z internatu byłem od czasu do czasu zabierany przez rodziców na niedziele do domu.

Tymczasem z mojego rocznego pobytu w internacie pamiętam tak wiele szczegółów, jak bym dopiero tam się narodził.

Pierwsza scenka, jaką sobie przypominam, to to, że pani nam coś w klasie rozdawała. Chyba były to stalówki. A może pióra albo zeszyty?

– Dziękuję – powiedziałem odruchowo, kiedy dostałem swój przydział.

Po chwili zaś, kiedy pani stała już z przodu, pod tablicą, spojrzała na mnie i powiedziała, uśmiechając się życzliwie:

– Tylko jedno z was powiedziało „dziękuję”. Kiedy się coś dostaje, mówi się „dziękuję”.

Potem stawiany byłem jeszcze wielokrotnie jako przykład. Na wy-cieczkach, w czasie jedzenia posiłków... Miałem wtedy dziewięć lat i był początek roku szkolnego 1965/66. Znajdowałem się w szkole z internatem dla dzieci trudnych wychowawczo, z dala od domu rodzinnego w Warszawie. Zostałem tam zesłany, ponieważ moja wychowawczyni nie potrafiła sobie ze mną poradzić. Z jednej strony byłem zbyt żywy, z drugiej zaś nie byłem w stanie się uporać z najprostszymi rzeczami: godzinami przebierałem się w szatni, bez przerwy się zamyślałem, pisałem potwornie wolno i kulfoniasto, a często (jak mi to moja młodsza siostra opowiadała, kiedy byłem już starszy) widziałem diabła na tablicy i z tego powodu odmawiałem przepisywania litererek. Jak się później dowiedziałem, z pierwszej do drugiej klasy przepuszczono mnie tylko dlatego, że byłem bardzo dobry w rachunkach i potrafiłem bez trudu liczyć w pamięci. Ale do trzeciej bym już nie przeszedł, gdybym warunkowo nie został przeniesiony do szkoły przy internacie.

W internacie poznałem też Bajkę, moją pierwszą „miłość”. Bajka była bardzo lubianą dziewczyną: proste blond włoski, ścięte na półdługo, tak trochę po chłopacku, ładna, miła buzia, wesołe i żywe usposobienie. Podobnie jak i inni, czułem do niej wielką sympatię. Ale nigdy się nie dowiedziałem, dlaczego się tu znalazła. Nie opowiadaliśmy sobie w internacie swoich życiorysów, byliśmy przecież jeszcze dziećmi. Tyle że chyba nie wszyscy w tym samym stopniu.

Przygotowywaliśmy występ. Wybiegałem do przodu w pierwszej tanecznej parze. Z Bajką. Bo Bajka też mnie jakoś wyjątkowo lubiła. Czułem to. I wiedziałem. Kiedy jednak wybudowaliśmy sobie wszyscy wspólnie rodzaj igloo z leśnego igliwia, Bajka

znikła w jego wnętrzu wraz z paroma innymi chłopakami i dziewczynami, a ja zostałem na straży. Dlaczego? Przecież to właśnie ja byłem sympatią Bajki. Potem powtarzało się to w moim życiu wielokrotnie. Byłem ciągłym obiektem dziewczęcych marzeń i westchnień, ale nigdy przedmiotem ich praktyk. I to zaczęło się już wtedy. Dlaczego bowiem, bodaj jako jedyny, nie zostałem wpuszczony do szałasu? Mimo że mój najlepszy internatowy kolega, Mirek K., także znikł w jego wnętrzu? I mimo że to właśnie ja co wieczór wszystkim chłopakom opowiadałem „dobranocki”? Mieliśmy, wszyscy chłopcy, dużą, wspólną salę sypialną. I często nie było mowy o zgaszeniu światła, dopóki nie opowiedziałem im czegoś. Szczególnym wzięciem cieszyły się przygody Flipa i Flapa. Skąd ja je znałem? Musiałem wtedy chyba jeszcze wszystko pamiętać. Aż do tej nocy. Tak mi się wydaje; że do tej nocy. Bo to, co przeżyłem, wtedy w nocy, to nie był żaden film ani komiks. I nie był to sen. Co to więc było?

Można by oczywiście powiedzieć, że to była dziecięca wyobraźnia. Można by to zwalić na karb wyobraźni. Bo na tej samej ścianie, na której to zobaczyłem, wyświetlała nam czasem pani S., nasza wychowawczyni w czasie wolnym od zajęć szkolnych, otóż wyświetlała nam takim projektorem do bajek, gdzie wkładało się film i przesuwano go ręcznie klatka po klatkę, wyświetlała nam różne „opowieści”. I kiedyś było coś o Sobieskim. O tym, jak zwyciężył pod Wiedniem. A potem pani S. opowiadała nam, że wjechał do Wiednia jako zwycięzca i niezręcznie mu było pokłonić się jej cesarskiej mości, więc zrobił ruch w kierunku swego nakrycia głowy, aby je po chwili poprawić, co cesarz wziął w pierwszym momencie za ukłon z jego strony i odkłonił mu się; dopiero wtedy Sobieski wykonał właściwy ukłon.

To wszystko pamiętam. Pamiętam też, że mieliśmy tam psa, takiego rudowłosego setera irlandzkiego, który jednak na ogół był bardzo smętny. Kiedy zagadnęliśmy o to panią S., odpowiedziała nam, że jest chory, bo ma w brzuchu pasożyta. Byliśmy tym bardzo poruszeni, a przynajmniej ja. Pamiętam

jeszcze wiele innych szczegółów. Woźnicę, który strasznie klął, wykrzykując na swoją szkapę, ciągnącą ciężki wóz z węglem, tyrady imion własnych w rodzaju: „Och, ty p***o grecka, ja ci pokażę!“.

To wszystko pamiętam. Ale nie pamiętam, co było przedtem. Nie pamiętam nic poza tymi paroma szczegółami z moich pierwszych dziewięciu lat życia. Nic. Film mi się urywa, kiedy go cofam. Tabula rasa.

I mam jakieś dziwne wrażenie, że to musiało mieć związek z tamtą nocą. Właściwie jestem tego prawie pewien.

I z jeszcze inną nocą. Z jednym z tych nielicznych szczegółów, które pamiętam jak przez mgłę z moich pierwszych dziewięciu lat życia. Wtedy... byłem tak przerażony. Ta postać, która znikła w oknie, a właściwie przez nie wyfrunęła, Król-Duch, jak by powiedział Słowacki, postać z rozszerzającym się ku ziemi, długim płaszczem i koroną na głowie. Postać emanująca majestatycznością, choć tak zwiewna i lotna.

– Aaaa! – wydarłem się wtedy w środku nocy. – Aaaaaaaaaaaaaa!!!

Król-Duch odwiedził mnie potem jeszcze raz. Ale dopiero później, w okresie stanu wojennego. Siedziałem wtedy samotnie w zaimprovizowanej w łazience ciemni fotograficznej i wywoływałem zdjęcia z wycieczki do Puszczy Kampinoskiej, które robiłem jako opiekun grupy młodzieżowej. Pracowałem wtedy w charakterze samodzielnego wychowawcy i zarazem jednoetatowego kierownika klubu osiedlowego „Pod siedmioma szabelkami“. Ale tylko jakieś osiem miesięcy, bo potem ktoś zaanektował całą naszą piwnicę na działalność prywatną.

Pamiętam, jak robiłem w Puszczy to zdjęcie. Fotografowałem wycinek lasu, gdzie głównym, centralnym motywem było bagienne rozlewisko. Dlaczego coś mnie tchnęło, żeby sfotografować kawałek bagna? W owej chwili jeszcze tego nie wiedziałem. Ale potem w domu, w ciemni, kiedy w czerwonym świetle żarówki ciemniowej przyglądałem się wyjętemu z wywoływacza, czarno-

białemu zdjęciu, nagle go zobaczyłem. Na samym środku bagna. Wyraźne kontury wyłaniającej się z bagna postaci z koroną na głowie. Król bagien czy Król-Duch zatem? Ta sama postać, co wtedy, w dzieciństwie, byłem o tym na sto procent przekonany.

Czyżby więc Król-Duch w jakimś sensie czuwał także nade mną? Czyżby ten mój cały pobyt w internacie i ta moja cała bajrońska uczuciowość zapatrzonego w światy wewnętrzne Małego Księcia, który porusza dziewczęce serca, ale odstrasza je swoim idealizmem, przeraża je swoimi poetycko-supermeńskimi lotami na wysokościach, i która to uczuciowość wtedy już stanęła mi w drodze, wtedy, kiedy nie zostałem wpuszczony do namiotu, bo zostałem jakby z góry przeznaczony do innej kategorii przeżyć, bo byłem przed czymś jakby chroniony – czyżby to zesłanie mnie na to internatowe pustkowie, co przyprawiło mnie o zanik pamięci – czyżby to miała być, oprócz wszystkich względów pedagogicznych, które o tym zadecydowały, czyżby to miała więc być jakaś namiastka pobytu w zakonie? Aby wyzwolić we mnie tę nienazwaną tęsknotę za czymś niepojętym, która to od tamtej chwili już mnie nigdy nie opuściła? A zwłaszcza od tamtej nocy? Nocy, kiedy po raz pierwszy tak wyraźnie zetknąłem się z czymś niedającym się w żaden sposób ogarnąć racjonalizmem ludzkiego umysłu?...

Gdyby tak było, byłoby to jakieś mieszczące się w ramach mojego idealizmu uzasadnienie dla tego mojego niezawinionego pobytu w internacie. I uzasadnienie dla tej nocy. I dla tej mojej tęsknoty do samotności, kiedy pod stopami czuję oddech ziemi, choć niebo zdaje się mnie nad nią przecież unosić. Tej szczęśliwej samotności zakosztowałem już wtedy, w czasie owych wspaniałych wycieczek, jakie nam wielokroć w internacie organizowano. Tym starym, owalnym z tyłu i z przodu Jelczem, z klapą silnika w środku, obok siedzenia kierowcy. Po drogach lat sześćdziesiątych. I w słońcu tych lat. W słońcu tych niezwykłych lat sześćdziesiątych, kiedy już się zdawało, że świat raz na zawsze zbudził się z letargu materializmu i komercji.

Zwiedziliśmy wiele miast i miasteczek w czasie tych naszych cudownych wypraw po szlakach tysiącletniego Państwa Polskiego, które jakimś niewytłumaczalnym cudem powróciło do swoich słowiańskich rubieży i było dla mnie, dziecka, wyglądającego zza szyb autokaru, czymś w rodzaju jakiejś rajskiej krainy, jakimś pogodnym królestwem, jakimś filmem wyświetlanym przez Króla-Ducha. Poznań, Kalisz, Gniezno, Kruszwica, Biskupin wyłaniały się przed moimi oczyma małego chłopca jak sceny z jakiejś dobrej bajki.

Na trasie kolejnej wycieczki był Lublin z przyległościami. Doskonale sobie jeszcze przypominam, jak zwiedzaliśmy pewien kościół na lubelskiej starówce. Przewodnik stanął w rogu takiego kościelnego przedsionka i zaczął mówić coś szeptem, a my, stojąc w przeciwległym rogu, o jakieś dobre dziesięć metrów dalej, słyszeliśmy każde słowo jak przez głośnik. Tłumaczył nam, że umożliwia to specjalna, łukowata budowa sklepienia, po której niesie się dźwięk. Pamiętam też, jak pokazywał nam balkon kamienicy, na którym jakiś mężczyzna w czasie wojny „złapał” spadającą bombę, tłumiąc jej wybuch na tyle, że uratował swoich bliskich i kamienicę od zagłady. I pamiętam jeszcze o innej bombie, o jedynej wówczas w Polsce bombie kobaltowej (podarowanej nam przez sąsiadów zza Bugu), służącej do zwalczania raka. Nie potrafiłem sobie wtedy uzmysłwić, jak bomba może ratować życie, skoro bomby służą zabijaniu, mimo że przewodnik nam tłumaczył, że bombą kobaltową napromieniowuje się komórki rakowe. Byłem tym bardzo przejęty. Pamiętam też zarysy budowli szpitala – szpitala, gdzie znajdowała się ta dobra bomba – na tle niebieskiego, tysiącletniego nieba, które jakby zdawało się o bombach nic nie wiedzieć. Albo już o nich zapomniało. To polsko-lubelskie niebo dane mi było ujrzeć ponownie jakieś siedemnaście, osiemnaście lat później. Zostałem wysłany jako debiutujący autor z bardzo poważanego pisma o tematyce filmowej na lubelski festiwal „Człowiek-Praca-Twórczość”. Miałem odpowiednie wykształcenie i przyszłość stała przede mną otworem. Trochę mnie co prawda zdziwiło, że główny redaktor

tego pisma trzymał w czasie rozmowy kwalifikacyjnej swoje odziane w potężne, czarne buciska nogi na ukos na środku biurka, na szczęście jednak nie on był moim bezpośrednim zwierzchnikiem, ale pewna pani redaktor w średnim wieku, która nie trzymała nóg na biurku i choć była nieco za pulchna, to była bardzo miła i zdawała się nawet być podekscytowana faktem, że taki młody, przystojny człowiek, prawie prosto po studiach, trafia jej się na redakcyjnego kolegę. Ale zawiodła się na mnie. A ja na niej. I na systemie. Kiedy bowiem skorygowała mój maszynopis i zaprosiła mnie na rozmowę, zaczęła od słów:

– Czy pan chce obalić socjalizm?

– Ja, socjalizm?

– Dlaczego? – spytałem chyba zbyt naiwnie.

Pani redaktor pokazała mi rzędy skreślonych na czerwono liter. Chodziło głównie o sprawy „zakulisowe” festiwalu. O to, że był jedną wielką bibą i popijawą. Taką zakulisową enklawą wolności dla pewnego rodzaju instynktów, drzemających w zakamarkach duszy polsko-rosyjsko-proletariacko-prowincjonalnej.

– Ale przecież Edward Gierek nie popiera pijaństwa i...

Nie dokończyłem. Pani redaktor miała zbyt wielkie oczy. Oczy, które mówiły: „A co ma do tego Gierek? To jest festiwal o wielkiej randze... i znaczeniu. Są w niego zaangażowani odpowiedni członkowie (i członkinie), nasi koledzy po fachu, twórcy filmowi... Jednym słowem...” ręka rękę myje. A gardła wielu zasłużonych działaczy i młodzieży zaangażowanej w ważne sprawy o randze narodowej są zrobione, fakt to znany, z azbestu. Uszy zaś mają gumowe. A łokcie nierdzewne. Bomba... kobaltowa. W końcu nigdy się nie przekonałem, jak wygląda ta dobra bomba. Ale chyba nie przypomina kształtem rzędów pustych butelek. I chyba nie ma kaca. Przypomina raczej niebieskie niebo.

– Ale przecież to jest prawda – dorzuciłem po chwili, próbując

jeszcze jakoś moją karierę uratować.

Pani redaktor znowu miała oczy, które mówiły, że nie rozumiem pryncypiów. Chciała mi pomóc. W końcu byłem młodym, cholernie przystojnym facetem i do tego miałem idealne wykształcenie i znajomość tematu; i pani redaktor wiedziała, że film to był mój konik od dzieciństwa. Chciałem nawet zostać reżyserem.

Ale ja powiedziałem, co myślę. Zaryzykowałem. A myślałem, że mój maszynopis jest zbyt mocno zabarwiony na czerwono. I poprosiłem panią redaktor, żeby go odczerwieniła i wydrukowała tak, jak go napisałem. Albo... Dodałem też, że tak było i że reportaż ma za zadanie opisywać prawdę, rzeczywistość.

I to był koniec mojej kariery. Już nigdy więcej nie pofatygowałem się do redakcji tego pisma. Z podobnych powodów ja, człowiek z ulicy, jak mnie nazwał kiedyś pewien etatowy poeta z innego bardzo poważanego pisma, otóż z podobnych powodów moja kariera w innych redakcjach kończyła się po napisaniu pierwszego tekstu. Aż zrozumiałem, że musiałbym założyć moje własne pismo, żeby mówić o tym, co miałem do powiedzenia.

Ale wówczas byłem jeszcze na początku drogi. Drogi, na której znalazłem się po raz pierwszy dwadzieścia lat wcześniej, w tamtą noc.

Otworzyłem oczy. Mogło być gdzieś koło drugiej nad ranem. Był rok szkolny 1965/66. Internat pod Warszawą. W salce było cicho. Moich kilkunastu rówieśników spało smacznie w swoich łóżkach. Ale... na ścianie, na której pani wychowawczyni wyświetlała nam filmy tym ręcznym wyświetlaczem, teraz pojawiły się cienie, rzucane, jak sądziłem, przez przejeżdżające nieopodal drogą auto. Nawet pomyślałem, że to jest simca. I pomyślałem, że ma złe hamulce, bo przed paroma dniami byłem mimowolnym świadkiem rozmowy dwóch kierowców: jeden był posiadaczem trabanta, a drugi używanej simki. Ten pierwszy po chwili mnie spytał:

- A wiesz, co trabant ma napisane od spodu, na podwoziu?
- Nie wiem – odparłem. Skąd miałem wiedzieć?
- Ma napisane: „Uważaj byku, bo ja jestem z plastiku“.
- Naprawdę?
- Naprawdę, trabant jest z plastiku.
- Z plastiku?
- Yhym.
- Ale simca nie? – spytałem w obawie, że inne samochody mogłyby też być z plastiku.
- Simca nie. I dlatego musi na trabanta uważać.
- A który samochód jest lepszy, simca czy trabant? – podchwyciłem temat, licząc na uzyskanie dostępu do jednego z tych cennych dla każdego dziewięcioletniego chłopaka tajników wiedzy o pojazdach samochodowych.
- Simca – odparł właściciel trabanta.
- Tak myślałem – skwitowałem, bo w duchu nie podobało mi się, że trabant jest z plastiku. „Co to za samochód z plastiku? – myślałem. – Rozleci się przy pierwszym zderzeniu z simką.“
- Ale simca ma kiepskie hamulce – odezwał się właściciel simki. A ja?... Do dziś jestem przekonany, że simki mają kiepskie hamulce. Tylko że simek już nie ma.

No i wtedy w nocy pomyślałem, że to simca przejeżdża pobliską drogą i rzuca na ścianę cienie. Często się to w nocy zdarzało. Tylko że tym razem dziwnie jakoś długo przejeżdżała ta Simca. A cienie na ścianie nie były jak zwykle czarno-białe, tylko kolorowe. Kolorowe?! To była feeria kolorów. To był spektakl, w którym po zwykłej białej ścianie przepływały wielobarwne fontanny fantastycznych kształtów. Tak jakby wszystkie kwiaty

z naszego ogródka nagle jednocześnie zakwitły i w jakimś pełnym radości nocnym tańcu, pewne że nikt ich nie widzi, odtańczyły swój najpiękniejszy balet, odsłaniając na chwilę, jak jakieś nadprzyrodzone, boskie istoty, cały swój niebiański powab.

Patrzyłem zafascynowany. Ale nie zdawałem sobie wtedy sprawy, że to nie mogła być simca. Że żadna simca ani żaden trabant, ani nawet mercedes albo rolls-royce nie rzuciłyby na ścianę takiej feerii poruszających się harmonijnie barwnych cieni i świateł.

Potem, kiedy byłem starszy, zacząłem interesować się tymi rzeczami. Ale kariery jako dziennikarz nie zrobiłem. Bo kiedy dokonywano niezrozumiałych dla mnie poprawek w moich tekstach, to ja sobie przypominałem tę nocną projekcję. I łzy stawały mi w oczach. I mówiłem „nie“.

I odchodziłem. I nie wiedziałem, dokąd idę. Ale dziś to wiem. Wiem z całą pewnością.

Autorstwo: Mr. Slimsky

Źródło: WolneMedia.net